

Bona. Królowa z rodu Sforzów. Tom 4

PEKNIĘTE KRÓLESTWO



RENATA
CZARNECKA

RENATA CZARNECKA

PEKNIĘTE KRÓLESTWO

BONA. KRÓLOWA
Z RODU SFORZÓW
TOM 4



Copyright © 2025 by Renata Czarnecka

Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi REDAKTOR

PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

KOREKTA: Aleksandra Zok-Smoła

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska PROJEKT OKŁADKI: Anna Slotorsz

ZDJĘCIE AUTORKI: Wojciech Ciszewicz WYDANIE I

ISBN PRINT: 978-83-8412-249-5

EAN: 9788384122495

ISBN E-BOOK: 978-83-8412-250-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



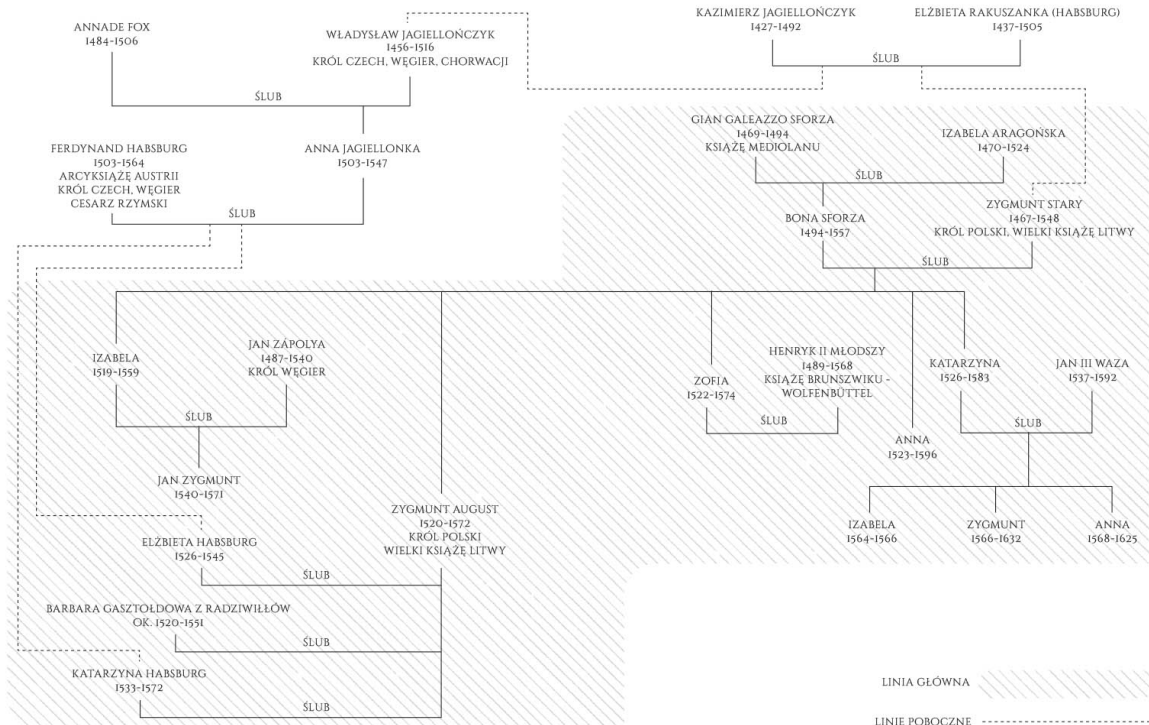
Plik przygotował Woblink

woblink

woblink.com

TABLICA POTOMKÓW

SFORZÓW I JAGIELLONÓW



ROZDZIAŁ 1

CISZEJ NAD JEJ TRUMNĄ!

Odwykł od ciszy i od nocy rozjaśnionych blaskiem księżyca. Dotąd otaczał go mrok. Gdy idzie, nadstawia uszu, a jego wzrok wypatruje czujnie i skacze po zakamarkach korytarzy. Schodzi do niszy, schyla głowę pod niskim sklepieniem i stąpa po schodach niespiesznie. Ta noc i ta cisza ciążą mu jak kamień. Nagle słyszy płacz, wpada do jego uszu melodią żalosną i ciężką, przenika serce i wzmacnia cierpienie. Coś mówi mu, by zostawił jej duszę w spokoju, by pozwolił jej odejść. Nie potrafi. Znowu powracają obrazy i widzi ją nagą. Damy obmywają jej wychudzone ramiona, piersi i dłonie, a strugi wody spływają po wymęczonej bólem twarzy. Szorstkie włosy, pozbawione blasku, płaczą się. Kasztelanowa Tarnowska z trudem hamuje zniecierpliwienie, szarpie, by zaraz z największą pieśczęcią gładzić splecione pasma, jakby powodowana nagłym współczuciem albo litością. Ale to żadne z tych uczuć. Dostrzegła króla, jego oczy błysnęły w ciemności i wzmożyły jej czujność. Zygmunt August wpadł do alkierza i z gniewem zerwał z luster czarny jedwab.

– Odsłońcie lustra! Wszystkie!!! – rozkazał i spojrzał w toń zwierciadła, jakby tam jej szukał. Jego krzyk zatrwożył damy. – Wróć, Barbaro! Gdziekolwiek jesteś! Pragnę znowu cię zobaczyć!

Lustrzana tafla zmaciła się i po chwili z mroku wyłoniła się królowa. Leży na marach, z sinymi ustami, z białą twarzą, ubrana w suknię tkaną złotem. Światło gromnic ślizga się po złotogłowie i nadaje cerze świetlisty blask. Dotknął ustami jej warg, a wtedy lodowate zimno go zmroziło.

Ocknął się i uświadomił sobie, że jest martwa. Jakby wreszcie uwierzył i już nie czekał na cud. Płacz przepadł w korytarzach, słyszał już tylko własne kroki. Zatrzymał się i po chwili wszedł do sieni. Odchylił kotarę i zniknął w alkierzu. Kilka świec paliło się bladym płomieniem. Rozkazał, by nigdy, nawet w nocy, nie gaszono ich w komnatach królowej.

Powiódł wzrokiem po sprzętach. Jego oczy spoczęły na komodzie. To tutaj, przed lustrem, zasiadała każdego dnia, by upiększać sobie twarz, a suknie skrapiać pachnidłami. Pośród błyszczących kamieni dostrzegł białe perły. Ujął je w palce. Zdało mu się, że ciągle mają w sobie ciepło jej ciała. Przycisnął naszyjnik do piersi, jakby chciał ugasić w sercu ból, jaki rozpalila nienasyconym płomieniem śmierć ukochanej. Kątem oka zerknął na stojącą obok skrzynię i uniósł jej ciężkie wieko. Poskładane równo z największą dbałością ubiory zaśniły od rubinów, szmaragdów i szafirów. Ulubiona suknia Barbary w kolorze karminu, przetykana czarną nicią, na dłużej przyciągnęła wzrok Zygmunta Augusta. Ujął jedwab w palce, nozdrza zatopił w tkaninie, a wtedy zapach róży przeniknął do płuc i je wypełnił, jakby ta woń miała nasycić zmysły króla i ukoić ból po stracie Barbary, lecz tylko wzmogła rozpacz. Z piersi monarchy dobył się gwałtowny szloch. Próbował go w sobie zdusić. Nie potrafił.

Naraz oderwał twarz od sukni i zmarszczył czoło. Zdało mu się, że nie jest sam. Nadstawił uszu. Wyraźnie czuł czyjąś obecność, tak jakby ona tu była. Raptownie okrył go cień i w tym momencie chłód go przeniknął i zmroził. Odchylił głowę i spojrzał w górę. Ujrzał Mikołaja Rudego. Podczaszy patrzył na władcę oczami wilgotnymi od łez i wtedy król poczuł, że nie jest sam w cierpieniu.

– Wasza miłość, trzeba posłać do Warszawy... Do królowej Bony – odezwał się Radziwiłł.

Zygmunt milczał, ale Mikołaj dostrzegł, że król zacisnął dłonie, a czoło porały mu głębokie bruzdy. Zdało się, że na jednej szali położył nienawiść do matki, a na drugiej powinność władcy. Która z owych szali przeważy, tego nie wiedział.

– Przywołaj pana Zebrzydowskiego, pojedzie z listem – przemówił wreszcie monarcha. – A ty, Mikołaju, wraz z bratem szykujcie się na Litwę.

Ujrzawszy zaskoczenie w oczach szwagra, wyjaśnił:

– W Wilnie powitacie kondukt żałobny z trumną królowej.

– Jakże to, wasza miłość? – wydukał.

– Gdy patrzę na dworzan, zdaje mi się, że czerń wyraża ich radość. Tak naprawdę nikt tutaj Barbary nie kochał i nie żałował – wyznał Jagiellon.

– To dla nas obraza!

Z dali dotarł do nich wzburzony głos. Spojrzeli w stronę kotar. W progu stał Radziwiłł Czarny. Musiał wejść tu za Rudym i z oddali przysłuchiwał się rozmowie. Kanclerz jakby oprzytomniał, że ma przed sobą króla, a może jego samego własny głos przeraził, bo spokorniał. Wszedł do komnaty i rzekł do monarchy, tym razem bez wzburzenia: – Wasza miłość, co powiedzą w Koronie i na Litwie? Że siostra nasza niegodna Wawelu.

– Wolą królowej było spocząć w katedrze wileńskiej... i tak się stanie – postanowił Zygmunt August.

Wzrok króla był nieugięty. Czarny złamał się pod jego siłą i okiełznał w sobie gniew, po czym pochyliwszy przed monarchą głowę, wycofał się. Za nim ruszył podczaszy litewski. Półmrok korytarzy okrył braci. Mikołaj Rudy wyprzedził kuzyna, a gdy oddalili się od królewskich komnat, kanclerz rzekł wzburzonym głosem: – Król nie może wywieźć Barbary z Krakowa! Jeśli to robi, po Litwie rozniosą się chichot i szyderstwa z nas, Radziwiłłów! Przecież byliśmy tak blisko tronu!

Podczaszy litewski zatrzymał się, odwrócił i rzekł stanowczo do Czarnego: – Zrobię wszystko, by zadość stało się woli naszej siostry.

Radziwiłł Czarny natrafił na nieustępliwy wzrok stryjecznego brata, wiedział, że w tej sprawie nie ma w nim sprzymierzeńca, i poczuł, że wraz ze śmiercią Barbary coś pękło między nimi. Przepełniła się czara gorczy Rudego. Jakże on pragnął zapomnieć o tym miejscu i wrócić na Litwę. Rozeszli się, każdy w swoją stronę. Mikołaj Czarny zatrzymał się i jeszcze przez chwilę wpatrywał w barczystą sylwetkę kuzyna, aż zniknęła w ciemnościach. Tymczasem podczaszy, odnalazłszy pana Zebrzydowskiego, skierował go do króla. Nazajutrz królewski dworzanin ruszył do Warszawy z listem od Zygmunta Augusta dla królowej Bony.

* * *

Bona uniosła głowę z poduszki i spojrzała w majowe niebo poszarzałe od chmur. Wspomniała wczorajszy wieczór, kiedy dostała list od syna, w którym donosił o śmierci Barbary. Król pisał: *Z bólem serca donoszę Waszej Królewskiej Mości, że umiłowana moja małżonka Barbara z Radziwiłłów odeszła do domu Pana.*

Poczuła ciężar na sercu. Nie takich słów pragnęła i nie na takie czekała. Liczyła, że syn wezwie ją do Krakowa, że odtąd się nie rozstaną, że w trudnych chwilach da mu pocieszenie i będzie wsparciem. Wstała z łóżka ociężała, pełna złych przeczuć, ale te uleciały jak spłoszone ptaki wraz z wiadomością od księdza Przerębskiego, który musiał posłać umyślnego zaraz za gońcem króla. List przyniosła Lukrecja Alifio. Bona odczytała wiadomość i w mig rozszyfrowała intencje syna. Zaraz posłała po marszałka Mikołaja Wolskiego, przykazując dwórcę, by wprowadziła go do gabinetu. Podczas ubierania niecierpliwiła się i ponaglała damy dworu. W końcu ubrana i uczesana otwarła częściowo przesłonięte kotarami drzwi,

które prowadziły wprost do gabinetu. Ochmistrz dworu już czekał. Bona od progu rzekła, wymachując listem: – To od księdza Przerębskiego, król chce pochować Radziwiłównę w Wilnie.

Mikołaj Wolski był wyraźnie zaskoczony i rozważywszy to, co usłyszał, odparł: – Możemy się spodziewać, że upór króla wzbudzi wściekłość Radziwiłłów.

Uśmiechnęła się z satysfakcją i powiedziała:

– Pierwszy raz czegoś im odmówi.

Królowa zamyśliła się, co nie umknęło Wolskiemu, bo rzekł:

– Macie jakieś zmartwienie, pani.

– Niecierpliwie będę odliczać dni do przyjazdu króla do Warszawy – rzekła, a dostrzegłszy w jego oczach zwątpienie, wyjaśniła: – Są rzeczy niecierpiące zwłoki. Królowny nie będą czekać, aż ich brat otrząśnie się po śmierci wojewodziny. Niech jak najprędzej ją pochowa, siostrom poszuka mężów i sam weźmie sobie kolejną żonę. Tym razem zdrową.

Głos Bony przycichł. Przez szparę w drzwiach od sieni podglądał królową Gian Lorenzo Pappacoda. Nagle poczuł na ramieniu czyjś zimny dotyk, wzdrygnął się i gwałtownie odwrócił. Ujrzawszy Marię Arcamone, uczuł ulgę, zamknął ostrożnie drzwi i nie omieszkał skarcić damy dworu: – Skradasz się jak kot.

– Jak kocica – poprawiła go, uśmiechając się zalotnie.

Ale Włoch nie podzielał jej dobrego nastroju i ująwszy ją pod łokieć, wyprowadził na korytarz i tam skwitował: – Nie pora na żarty, Mario. Nasza pani dostała list od króla?

– Nie. Od księdza Przerębskiego – sprostowała.

– Dowiedz się, co jest w tym liście.

– Ostatnio królowa nie jest zbyt wylewna.

– Może za mało się starasz. Spójrz na Lukrecję, której nasza pani ufa zupełnie – wypomniał jej.

– Ona jest przy królowej od początku – zauważyła dwórka.

– To nie jest kwestia czasu, Mario. Nie potrafisz jej nadskakiwać, zgadywać myśli i uprzedzać pragnień. A przecież donna Lukrecja nie jest już młoda. Kto zajmie jej miejsce przy królowej, gdy umrze?

Potaknęła, pojawiając jego intencje.

– Postaraj się – rzekł i musnąwszy palcami jej policzek, uśmiechnął się. Jego dotyk sprawił jej przyjemność. Pragnęła więcej pieśczoć, lecz Gian Lorenzo już się oddalił. Widziała jego strzelistą postać odzianą w połyskującą czarną pelerynę przerzuconą przez ramię. Mimo że przekroczył czterdziestkę, zachował piękną sylwetkę.

Majowy wieczór był ciepły, ale w warszawskim zamku panował chłód.

Ogień w kominkach nie gasł. Damy dworu zdjęły z królowej suknię i Bona w samej bieliźnie pochyliła się nad mosiężną misą napełnioną wodą z odrobiną olejku z rumianku. Chlupot wody wygrywał dźwięczną melodię. Lukrecja Alifio czekała w pobliżu, by wytrzeć ramiona i szyję Bony, gdy weszła Maria Arcamone. Monarchini zerknęła na nią i burknęła oschle: – Gdzie się podziewałaś?

Maria, skarcona jej wzrokiem, opuściła pokornie głowę i odrzekła: – Wybaczcie, pani... Przyniosłam waszej miłości jabłka, które tak bardzo lubicie.

Królowa spojrzała na kosz pełen owoców, który Maria trzymała pod pachą, i skinęła na dwórkę. Pani Arcamone zbliżyła się spiesźnie, a wtedy Bona sięgnęła po jabłko i wbiła zęby w soczysty miąższ. Przegryzłszy kęs, powiedziała rozmarzona: – Sady pełne biało kwitnących jabłoni! Czy może być piękniejszy widok?

Lukrecja wytarła królową i założyła na nią nocną koszulę. Bona wydała z siebie ciche westchnienie, na duszy zrobiło jej się lżej. Zawsze wiosną czuła się silniejsza, radość napełniała jej serce, z duszy przeganiając mrok. Teraz tę radość odczuwała intensywniej. Świat w jej oczach pojaśniał. Śmierć synowej natchnęła ją optymizmem. Żeby tylko August puścił w niepamięć złe chwile, odrzucił żale, byle dawał posłuch jej radom i oddalił Radziwiłłów. Wtedy umocnią królestwo na nowo.

– Wybrzeże Neapolu i szmaragdowe wody Adriatyku nie mają sobie równych, miłościwa pani – powiedziała nieoczekiwanie Maria, a jej głos rozproszył myśli monarchini.

– Nic nie jest piękniejsze niż Italia. Żyzne polskie pola pełne zbóż, przeplecione czerwienią maków, nie przyćmią skalistych wybrzeży Italii. Tam zostało wszystko, co było mi drogie – przyznała królowa.

Na to Maria się uśmiechnęła.

– Wasza wysokość wróci tam kiedyś? – spytała dama dworu nieoczekiwanie, skupiając na sobie uwagę Lukrecji.

– Kiedyś jest odległe, Mario, liczy się teraz, a teraz chcę wrócić na Wawel – odparła Bona.

Jasna twarz Marii sposepniała. Obłok niepokoju przyćmił radość.

Nazajutrz o poranku Bona napisała do księdza Przerębskiego, by wysłał gońca, gdy król opuści Kraków. Napisała także do syna, że czeka na niego w Warszawie, pragnie go ujrzyć i pocieszyć po stracie żony.

Z końcem maja przysłała wiadomość od sekretarza królewskiego, księdza Przerębskiego, że orszak pogrzebowy opuścił Wawel, że jadą z królem jego dworzanie i dwór zmarłej królowej, co jest nie na rękę szczególnie paniom Szydłowieckim i Tarnowskiej, że jęczą nad swoją niedolą i pomstują na zmarłą, że w spiekocie muszą iść wraz z nią do dalekiej krainy, której żadna z nich nie ma ochoty ujrzyć. Lecz król jest

nieugięty, więc orszak liczący czterysta koni i kilkadziesiąt karoc od świtu do zmierzchu będzie przemierzał wsie i miasteczka, lasy i pola, by zadośćuczynić woli zmarłej. Tymczasem z każdym dniem przybliżającym Bonę do syna królowa coraz śmielej rozmyślała o nowym mariażu Augusta.

Doszły ją słuchy, że Małgorzata Walezjuszka, córka zmarłego kilka lat temu kuzyna Bony, Franciszka, nie wyszła jeszcze za mąż. Choć wcześniej swatano jej na męża syna cesarza Filipa Habsburga, ostatecznie nic z tego nie wyszło. Późnym wieczorem, gdy noc była gęsta i czarna od ciężkich chmur, Bona wezwała swego sekretarza, księdza Marca della Torre. Wszedł z rozwichrzonymi włosami, w duchownym odzieniu, które ubrał pośpiesznie, i wbił w nią zaspany wzrok. Uśmiechnęła się na jego widok i rzekła: – Wybacz... kazałam cię zbudzić.

– Zawsze jestem do usług waszej wysokości – odparł, a wtedy posłała mu przychylne spojrzenie i wskazała miejsce za stołem. Zbliżył się bezszelestnie i usiadł.

– Czas płynie szybko, ani się obejrzymy, a skończy się żałoba po Barbarze – powiedziała i podniosła się zza stołu. Krążyła po komnacie zadumana. Naraz zatrzymała się i wbiwszy wzrok w Marca, dodała zdecydowanie: – Musimy uprzedzić inne kandydatury do tronu królowej Polski.

Otworzył oczy szeroko, jakby naraz oprzytomniał, i rzekł:

– Wasza miłość myśli, że...

– Jestem przekonana, że cesarz już rozmyśla, kogo narać królowi – wpadła mu w słowo.

– Karol ma kilka niezamężnych bratanic – zauważył.

– Nie biorę pod uwagę żadnej Habsburżanki – powiedziała, zirytowana tą sugestią.

– A król? Czy jego wysokość również nie bierze ich pod uwagę?

Gdy milczała zasepiona, spytał:

– Mam sporządzić listę księżniczek na wydaniu?

– Nie – rzekła zdecydowanie. – Chcę, by król poślubił Małgorzatę Walezjuskę.

– Małgorzatę? – wydukał zaskoczony. – Najjaśniejsza pani, król Henryk nieustannie ma przez siostrę kłopoty.

– To znaczy? – spytała, patrząc na niego badawczo, i wsparła tęgie ramiona o stół.

– Rozповідаją, że Małgorzata jest krnąbrna i niepokorna.

– Niepokorna? – powtórzyła Bona, a dostrzegłszy w jego oczach skrępowanie, spytała: – Sądysz, że mnie zgorszysz?

– Nie, pani – oświadczył. – Ale nie godzi się tego powtarzać w obliczu waszego majestatu.

– Sama to ocenię. Zatem? – ośmieliła go.

– W oczach Małgorzaty mężczyźni to głupi samce.

Królowa uśmiechnęła się rozbawiona.

– A do tego ma nadmierny apetyt na miłości. Jest bardzo kochliwa – dodał, jakby wierzył, że tym zgasi rozbawienie królowej.

Bona istotnie spoważniała i zaraz odrzekła:

– Weźmiemy ten kłopot na swoją głowę. Pod warunkiem że Małgorzata nie jest gruzliczką, tak jak jej świętej pamięci siostra.

– Magdalena zmarła, dożywszy ledwie szesnastu lat – przypomniał.

– Właśnie... Wybadasz, co o tym mariażu sądzi król Henryk, ale nie wprost. Zbliź się do jego zaufanych ludzi, którzy mają na króla największy wpływ.

– Zważcie, miłościwa pani, że Małgorzata nie jest już najmłodsza, ma dwadzieścia siedem lat – zauważył nieśmiało.

– To nie zawada – obruszyła się, pamiętając, że gdy sama wychodziła za mąż, miała kilka lat mniej. – Uczynimy z tego atut.

Marco spojrzał na Bonę zdziwiony.

– Może tym chętniej Henryk pozbędzie się siostry, która jest dla niego balastem – wyjaśniła i zbliżyła się do sekretery. Przekręciła klucz, wysunęła szufladę, z której wyjęła zdobną w bursztyny szkatułę, uniosła jej wieko i wyciągnęła skórzaną sakiewkę. Sekretarz nie widział twarzy Bony, bo stała do niego tyłem, i tylko obserwował jej wielki czarny cień na ścianie. Odwróciła się i wręczając mu sakiewkę, rzekła: – Ruszysz za dwa dni, oto dukaty na koszty podróży i łapówki, ale pamiętaj, złoto rozdawaj rozważnie. I nikomu ani słowa. Jeśli cokolwiek przedwcześnie dojdzie do uszu króla, August gotów zrobić mi na przekór.

– Rozumiem, pani – rzekł, podniósł się, pochylił przed nią głowę i niezatrzymywany skierował się do korytarza. Nie spiesząc się, ruszył przed siebie. Miał wrażenie, że obserwują go czyjeś dociekliwe oczy. To Portia odziana w czarną suknię wtopiła się w ciemność panującą na korytarzu. Odczekawszy, aż Marco zniknie jej z oczu, zawróciła do komnaty królowej. Wsunęła głowę w drzwi i potoczyła wzrokiem. Bona rozwiązywała tasiemki szlafroka, zdjęła go i rzuciła niedbale na krzesło. Usłyszawszy skrzypnięcie drzwi, spojrzała w tamą stronę.

– Pilnowałaś, tak jak ci przykazałam? – spytała Portię.

– Nikogo nie było w pobliżu waszych komnat, pani.

– Jesteś pewna?

Karlica potaknęła.

Bona odrzuciła pościel z łóżka i po chwili zniknęła pod pierzyną.

Głowę ułożyła na poduszce i rzekła:

– Pogaś świece.

Portia zdmuchnęła płomień i pokój pograżył się w ciemności. Królowa słyszała, jak karlica kładzie się na swoim pościeliu tuż przy jej łóżku. Zaległa cisza.

* * *

W czerwcu niebo zapłonęło od słonecznego żaru. Bona nie pamiętała tak gorącego końca wiosny, jak tego właśnie roku. Piątego czerwca w największą spiekotę, w samo południe przybył na zamek warszawski goniec od księdza Przerębskiego z wieścią, że kolejnego dnia król dotrze do Kozienic, lecz jak dotąd przed nikim nie odkrył zamiaru przyjazdu do Warszawy. Mimo to słowa królewskiego sekretarza nie wzbudziły w Bonie niepokoju. Uważała, że August, dotarłszy do Kozienic, rozporządzi dalszą drogę na Warszawę, a może nawet zostawi orszak, trumnę z ciałem Barbary umieści w pobliskim kościele i, wskoczywszy na koń, przybędzie do matki z niewielkim oddziałem zbrojnych. Nazajutrz odesłała gońca z listem, w którym prosiła, by Przerębski bezzwłocznie ją powiadomił, gdy król opuści Kozienice. Po kilku dniach powrócił kurier z wiadomością, którą królowa odebrała jak policzek. Był poranek. Bona właśnie się ubierała. Usługiwały jej damy dworu i karlice, ona zaś popatrywała na nie łaskawym okiem. Myśl o bliskim spotkaniu z synem nastrajała ją radośnie do chwili, gdy otworzyła list. Sekretarz pisał, że król z Kozienic kazał ruszać na Brześć. Gniew i rozpacz na przemian targały Boną. Od tygodnia przygotowywała się na to spotkanie. Wybrała dla syna najlepsze komnaty, ściany kazała obić gobelinami, jedwabnymi oponami i wstawić dębowe komody oraz wielkie wygodne łóżko, może rojąc sobie, że posławszy do niego jedną ze swych młodych dwórek, zdoła pocieszyć go w nieszczęściu, a zarazem uda jej się wyciągnąć od niego jakieś tajemne plany, których, powodowany ostrożnością, nigdy by przed matką nie odkrył. Kucharzom kazała

przygotowywać najlepsze potrawy, z piwnic wytoczyć beczki najprzedniejszych win. I teraz okazało się, że to wszystko na nic. Bona spojrzała w lustro. Maria założyła jej na głowę stroik z czarnym welonem. Monarchini przyjrzała się sobie.

Odziana w czerń wyglądała staro i ponuro. *Co się ze mną stało?*, rozmyślała. *Mroźne zimowe wichry wychłostały mi twarz, palące co roku letnie słońce wysuszyło delikatną skórę. Żałobna czerń odbiera blask.* Rada by ją zrzucić, lecz w chwilach zwątpienia powtarza sobie, że przeżyje żałobę razem z Augustem, by wkrótce cieszyć się z jego wesela. Dla tej chwili była gotowa na największe poświęcenia.

ROZDZIAŁ 2

GORZKIE ZIARNA NADZIEI

- To droga przez piekło.
- I pomyśleć, że to wszystko dla nierządnic.
- Nie ma nad nami litości.
- To zemsta zmarłej królowej.
- Oby smażyła się w piekielnej smole!

Kobiece głosy przesiąknięte żółcią niosły się pośród tłumu, a wtórowało im bicie w dzwony z pobliskiego kościoła, którego wieże widziano już z daleka. Spiekota nie dawała wytchnienia. Z nieba lał się żar. Ile to już dni są w drodze? Minęły tygodnie długiej i ciężkiej podróży, podczas której deszcz był rzadkim darem niebios. Małe kościoły, do których wnoszono trumnę z ciałem, dają upragniony cień, ale nagrzane drewniane ściany oddają duchotę do środka i pot spływa po czole króla. Zygmunt August klęczy przy trumnie i w milczeniu wsłuchuje się w słowa modlitwy wypowiedzianej przez mnichów. Sam się nie modli. Głowę ma zajęta myślami. Wspomina tę ostatnią chwilę, dzień, kiedy opuszczali Wawel. Wtedy spojrzął na Barbarę po raz ostatni. Wydawało mu się, że śpi. W rękach trzymała złote jabłko i berło, na czole spoczywała przechylona na bok srebrna korona. Gdy mnisi wylali na jej ciało wapno, poczuł przeszywający ból. Nie było przy nim nikogo, kto by powiedział, że lepiej nie patrzeć, i nie przesłonił owego widoku przed oczami króla.

Patrzył do końca i sam zamknął wieko trumny. A potem ten obraz powracał w snach. Wieczory dawały upragniony odpoczynek, a świt stawiał na nogi. Po kilku dniach orszak dotarł do Brześcia, tutaj dwór koronny,

pożegnawszy króla, zawrócił do Krakowa, zaś orszak pogrzebowy po dniu postoju ruszył w dalszą drogę.

Skwar zelżał na ziemiach litewskich. Białe obłoki zakryły słońce i z czasem wicher przygnał deszczowe chmury. Droga stała się lżejsza dla żałobników. W dali ujrzano Puszcę Rudnicką. Zygmunt August wstrzymał konia i powiódł wzrokiem. Na łagodnym wzgórzu w chmurnym dniu stał jeździec i patrzył w ich stronę. Towarzyszyło mu kilku konnych. Naraz puścił się w kierunku królewskiego orszaku i wkrótce rozpoznano herb Radziwiłłów zdobiący jego szaty. Ujrzawszy szwagra, król poczuł w sercu ciepło. Tymczasem podczaszy wstrzymał konia przed monarchą i pochyliwszy głowę, rzekł: – Wasza królewska mość.

Wzrok zatrzymał na obitej kirem trumnie. Poczuł w sercu ból. Król obejrzał się i pochwycił spojrzenie szwagra. Ruszyli w dalszą drogę. Rudy jechał przy Zygmuncie Auguście, ale Jagiellon niewiele się odzywał, jakby to nie była właściwa pora na pogawędkę. Niebawem dotarli do ukrytego w puszczy dworu myśliwskiego. Wjechali na podwórze i król rozkazał wnieść trumnę. Sam szukał samotności pośród rozrosłych dębów. Z dali dochodziły głosy dworzan, którzy wydawali dyspozycje. Zdejmowano skrzynie z karoc i niesiono do dworu. Monarcha tymczasem szukał samotności pośród gęstych traw nad brzegiem wody. Objął wzrokiem rozległe stawy i otaczające je zarośla i wtedy zdało mu się, że słyszy śmiech Barbary i jej radosne wołanie. Jej postać odziana w czerwoną suknię przemknęła pośród drzew. Król zamyślił się, tymczasem podczaszy zbliżył się i rzekł cicho, jakby nie chciał przegnać dobrych wspomnień: – Trumna we dworze, wasza miłość.

– Kto przy królowej? – dopytywał król.

– Mnisi – odparł Mikołaj Rudy.

– Niech dworzanie odpoczną, a o zachodzie słońca dołączą do modłów.
– Jagiellon zamilkł i zatonął spojrzeniem w głębokich stawach, w ich wodach wierzby kąpały smukłe gałęzie. Łabędzie płynęły spokojnie wzdłuż sitowia. Na ten widok oczy króla napełniły się łzami.

– Jakże byłem tu szczęśliwy – wyznał przez ściśniętą krtani.

Rudy zacisnął dłoń w pięść, jakby i on poczuł ciężar przeszłych dni, jakie tu spędził, będąc świadkiem szczęścia siostry.

– Jutro z rana ruszamy – oznajmił Zygmunt August, jakby pragnął strząsnąć z siebie wszystkie dobre wspomnienia, to one były udręką dla duszy.

* * *

Wilno już oczekiwało na wjazd konduktu. Drogę królewską do katedry wypełniły tłumy gapiów. Nie było w ich oczach żalości, podejrzliwie przypatrywali się żałobnikom. Unosili głowy, czynili znak krzyża i spoglądali na Jagiellona odzianego w głęboką czerń, przy której karmazynowa czerwień Radziwiłła Czarnego zdała się profanacją żałoby.

Zygmunt August powrócił do tej chwili, kiedy ujrzał kanclerza litewskiego witającego go u bram miasta. Mikołaj pokłonił się wówczas władcy i dał mu pierwszeństwo w orszaku. Monarcha oddalił się, a wtedy Mikołaj Rudy zbliżył się do stryjecznego brata tak blisko, że aż ich konie otarły się o siebie, i pochwyciwszy cugle wierzchowca Mikołaja Czarnego, wycedził szorstko: – Szybko zrzuć żałobę po Barbarze.

– Uwielbiała czerwień – odparł hardo kanclerz i wyszarpnąwszy cugle z rąk kuzyna, ruszył za królem.

Przez głowę Jagiellona przeleciały jak białe ptaki dobre wspomnienia, a potem czarna chmura objęła je mocnymi ramionami i zdusiła ich radosne śpiewy, ucichły ich głosy. Potworny ból rozsadzał mu skronie. Gdy

odprowadzano zmarłą do krypty przy żałobnym śpiewie mnichów, szedł tuż za trumną. A potem przez kilka dni nie mógł dojść do siebie. Tęsknota wiodła go do zamku górnego. Wchodził na wieżę i tam spoglądał ku Radziwiłłowskiemu zamkowi i ku ogrodowi, w próżnej nadziei, że ją tam zobaczy. Dworzanie przypatrywali się królowi z obawą, by głęboka rozpacz za zmarłą nie odebrała mu zmysłów.

Odzywały się głosy co niektórych dygnitarzy, by czym prędzej rozpocząć poszukiwania nowej małżonki dla króla, bo tylko ona oderwie jego myśli od przeszłości i rozkaże królowi iść naprzód. Popatrywali po sobie czujnie, w oczach skrywając nieufność. Pewnie niejeden z nich już poczynił jakieś przyrzeczenia za plecami króla. Tymczasem strach zaglądał w oczy Litwinów. Pogłoski idące ze wschodu budziły trwogę. Poszła fama, że car Iwan zabiega u papieża o koronę, że dla niej gotów zmienić wiarę i kłaniać się katolickiemu Bogu. Po tygodniu Zygmunt August uciekł z Wilna do puszczy, tam jego udręki i niepokoje się rozproszyły. Myśli zajmowała mu gonitwa za zwierzyną, uganiał się za jeleniami i rzucał na niedźwiedzie z taką brawurą, że dworzanie drżeli o jego życie. Mikołaj Rudy, niczym anioł stróż, nie odstępował króla na krok i usprawiedliwiał owo szaleństwo pragnieniem ucieczki przed rozpaczą za ukochaną Barbarą. Bona zaś co rusz dostawała wieści od księdza Przerębskiego. Przychodziły także nowiny z Węgier, od marszałka dworu królowej Izabeli, pana Łobockiego, oraz od Lanckorońskiego. Sama Izabela od długiego czasu nie pisała do matki.

Sierpniowego wieczoru Bona, już ubrana w koszulę nocną, zaraz miała się kłaść do łóżka, gdy przyszedł Mikołaj Wolski z listem z Węgier.

– Od Izabeli? – spytała z nadzieją.

Marszałek zaprzeczył. Królowa odebrała list i odczytała wiadomość od marszałka Łobockiego. Przez chwilę milczała.

– Stało się najgorsze – rzekła, unosząc oczy znad pisma.

Gdy spojrzał na nią niepewnie, wyznała:

– Królowa Izabela zamieniła tron Węgier na dwa biedne śląskie ksiąstewka i jest w drodze do Koszyc. Łobocki pisze, że rozważa przyjazd do Polski.

Ta nowina go poruszyła, współczuł królowej Węgier, ale nigdy nie wierzył, że wygra ona z Habsburgiem. Pragnąc jednak Bonę pocieszyć, rzekł: – Ujrzenie wnuka, pani, królewicza Jana Zygmunta.

– Obym nigdy nie musiała go oglądać w takich okolicznościach! – wybuchła. Dobrze wiedziała, że gdyby nie ucieczka Izabeli z Węgier, nigdy by się nie spotkała ani z nią, ani z wnukiem. Ochmistrz tymczasem popatrywał na królową z wahaniem, nie wiedział, co czynić: milczeć, coś odrzec, zostać czy wyjść.

– No, idź już – ponagliła go królowa, zirytowana jego przeciągającą się obecnością.

Gdy skłonił się i oddalał, usłyszał, jak mówiła do siebie: – Wszystko się sypie, wszystkie marzenia i plany, jakbym wszystko zbudowała na piaskach.

* * *

Nastał ciepły i suchy wrzesień. Bona, korzystając z dobrej pogody, doglądała ogrodu i czyniła przygotowania do jesieni, a gdy nadszedł mokry listopad, nie mogła znaleźć sobie miejsca na zamku. Dosiadała wtedy konia i pędziła przez podwarszawskie błonia. Bezkresne, poszarzałe od chmur widoki malowały w jej wyobraźni obrazy zaludnionych miast, na obrzeżach których wyrastają jeden po drugim browary, młyny i folusze. *Jest tu jeszcze tak wiele do zrobienia*, myślała, choć to ona już w części podniosła te ziemie z ugorów, jeszcze za życia Zygmunta. To ona tę ziemię zasiała swymi oddanymi ludźmi niczym ziarnem, które wyda dobry plon. A mimo

wszystko ciągle tęskniła za Krakowem, za gwarnymi ulicami, za zapachem korzeni i przypraw, za tym wszystkim, co zostało w jej pamięci i przypominało młodość i lata świetności królestwa.

– Najjaśniejsza pani, od Wisły nadciągają chmury. – Głos rozproszył jej myśli.

Wstrzymała wierzchowca i obejrzała się na Landolfa Baioniego.

Zawsze towarzyszył jej podczas przejażdżek, zawsze był pod ręką, szybki i sprawny jak dawniej, gdy był młodzieńcem. Tuż za nim pędziła zwinna jak gazela Maria Arcamone. Królowa lubiła jej towarzystwo, radość i optymizm tej dziewczyny nieraz udzielały się Bonie. Gdy Lukrecja Alifio napominała królową, że konne przejażdżki nadwerężą jej siły, monarchini srogim wzrokiem nakazywała jej milczenie i dosiadała klaczy; być może w osobie Marii widziała siebie sprzed lat, żywiołową, radosną, nieokiełznaną, kochającą ryzyko. Bona spojrzała w ciemne niebo i puściła się w drogę powrotną ku miastu. Baioni i Maria dogonili ją. Lunęło. Powrócili na zamek w strugach deszczu, przemoknięci, lecz królowa nie czuła chłodu listopadowego dnia. Weszła w korytarze. W sieni natknęła się na Lukrecję, która ujrzawszy królową całą przemoczoną, zdjęła z jej ramion grubą pelerynę, po czym przestrzegła ją: – Wasza miłość, nabawicie się zapalenia płuc. A przecież nie macie, pani, już dwudziestu lat.

– Ciągle mi o tym przypominasz, Lukrecjo! Zapewne nie mam już dwudziestu lat, ale pamięć mam jeszcze doskonałą. Wiem, w którym roku się urodziłam i jaki rok dziś mamy – ofuknęła ją królowa i rozkazała, by podała jej ręcznik. Chwilę potem suszyła przemoczone włosy przy kominku. Czuła, jak buchający ogień ją rozgrzewa.

– Oczy mnie pieką i łzawią – rzekła Bona, mrużąc powieki.

– Zaparzę wam rumianku, miłościwa pani – usłużnie zaoferowała Maria.

– Tak, przygotuj napar i dodaj trochę kwiatu nagietka – poleciła królowa i nakazała, by Maria się przebrała. Dama wypełniła rozkaz i niebawem powróciła w suchej sukni i z naparem z ziół w barwionym kielichu. Gdy przemywała oczy królowej, Bona co raz unosiła powieki i spoglądała na dwórkę z przyjemnością, w głębi duszy zazdroszcząc dziewczynie młodości.

– Dawniej byłam piękna... Budziłam podziw – rzekła nieoczekiwanie królowa. – Ale mężczyźni, którymi się otaczałam, bali się mnie...

Lukrecja pochwyciła dociekliwe spojrzenie Marii, jakby królowa zbyt pochopnie odważyła się na to osobiste wyznanie.

– Jutro również będziesz mi towarzyszyć na konnej przejażdżce, Mario – rzekła królowa, po czym zwróciła się do pani Alifio: – A ty, Lukrecjo, powiesz królewnom, by przed południem były gotowe, im również przyda się trochę rozrywki. Całkiem zgnuśnią w zamku.

Pani Alifio skinęła głową.

Nazajutrz, mimo że deszcz ustał i wyrzało słońce, Bona została w swoich pokojach dręczona jakąś nagłą chorobą oczu, którym nie pomógł napar z ziół. Wieczorem posłała Marię po Valentina. W drodze dama dworu natknęła się na Pappacodę.

– Lepiej z naszą panią? – dopytywał się, gdyż wieści o dolegliwości królowej rozeszły się po zamku. Maria pokręciła głową i dyskretnie się rozejrzała. Mimo późnej pory po korytarzu przemykali dworzanie i służba.

– Przeciwnie. Nie wychodzi z komnaty, bo nie chce, by ktokolwiek oglądał ją w takim stanie – odparła cicho.

– Nie jest małą, by ją oglądać – rzekł, na co Maria, rozbawiona tą uwagą, się roześmiała.

– Zajrzę do niej – powiedział, a wtedy dwórka posłała mu czujne spojrzenie i zauważyła: – Nie wzywała ciebie, lecz Valentina.

– Nie zabawię tam długo – uspokoił ją i ruszył do pokoi Bony odprowadzany bacznym wzrokiem Marii. Wszedł do sieni, pachniało tutaj rumiankiem. Nie cierpiał tej woni. Zbliżył się i uniósł kotarę. W sekundzie mdłe światło spłynęło na jego postać. Jego oczy penetrowały ciemność rozpraszaną ogniem od kominka i kilkoma świecami. Mimo ostrożności, jaką próbował zachować, stąpając cicho, Bona odgadła czyjąś obecność i zaraz rozległ się jej głos: – To ty, Valentino?

Gdy odpowiedziało jej milczenie, zwróciła twarz w stronę drzwi i zatopiła wzrok w mroku. Dworzanin, czując na sobie jej spojrzenie, przestąpił próg i powiedział: – To ja, Gian Lorenzo Pappacoda, najjaśniejsza pani.

Ruszył w jej stronę, ale natychmiast mu wzbroniła:

– Nie podchodź!

Zesztywniał na ten rozkaz. Wtedy wyjaśniła:

– Oczy mi zaropiały... Łzawią. Północne wichry chłoszczą, a zimno niszczy mi zdrowie.

– Mówiono mi o tym – rzekł przygnębiony.

– O czym? – spytała.

– Że wasza miłość nie domaga.

– Ach! Już dwórki wyniosły z alkierza tę nowinę? – sarknęła i zwróciła twarz w stronę kominka, wtedy dworzanin postąpił na przód kilka kroków, nie czekając na jej pozwolenie. – Macie więc o czym plotkować! Wasza królowa choruje na oczy i nic już nie ma z dawnej urody.

Odwróciła głowę, a dostrzegłszy go tak blisko, rzuciła karcąco: – Jesteś zuchwały, signor Pappacoda! Kazałam ci stać przy drzwiach!

– Zawsze pragnę służyć waszej miłości i czynić, co rozkażecie, ale darujcie, pani, nie mogę patrzeć spokojnie na wasze cierpienie – powiedział.

– Więc patrz! – rozkazała i wychyliła się ku niemu. – I co tam widzisz? Co mi poradzisz?

Ujrzał jej załzawione oczy, czerwone czopy zagnieździły się w kącikach. Choroba postępowała niespodziewanie szybko.

– Milczysz! – sarknęła – A chciałeś udawać medyka. Idź już! Zaraz tu będzie Valentino. On zna się na rzeczy.

– Valentino, wasza wysokość, nie zna leku na wasze dolegliwości – orzekł.

– A ty go znasz, Gianie Lorenzo?

– Tak, pani – rzekł i pochylił się, żywiczna woń jego szat wypełniła jej nozdrza.

– Więc? – spytała.

– Gorące źródła Abano uleczą nie tylko chore oczy, najjaśniejsza pani.

– Nie tylko oczy? Co chcesz przez to powiedzieć? – powtórzyła.

– Uleczą także duszę, oddalą tęsknotę i samotność.

– Nie jestem samotna! – zachnęła się.

– Ale sama, pani – rzekł.

W myślach przyznała mu rację. Ma przy sobie córki, August jest daleko, a ona czuje wokół siebie pustkę. Gdy zauważyła wzrok Pappacody spoczywający na modlitewniku, który kurczowo trzymała w rękach, przypomniała sobie swego małżonka – on też na starość zrobił się pobożny, a potem umarł. *Czyżbym i ja?*, czarne myśli przemknęły jej przez głowę. Zdjęła ją obawa przed śmiercią. *Zaczyna się od oczu, a kończy na nogach*, pomyślała. *Stanę się chorą niedołączną kobietą, z którą tutaj uczynią wszystko, co zechcą*. Przeniknął ją strach. Jakże pragnęłaby wydać córki za mąż, błogosławić nowemu małżeństwu syna i uciec stąd na kraniec świata. Zapomnieć. Czyjeś kroki rozproszyły jej myśli. Spojrzała w stronę drzwi.

Pappacoda wyprostował się i również skierował tam oczy. W progu stał Valentino i przypatrywał się obojgu.

– Jesteś wreszcie – rzekła królowa, odkładając modlitewnik na pobliski stolik. – Zioła nie poradziły mi na oczy, może ty znajdziesz skuteczne lekarstwo, signor Valentino?

Medyk przyjrzał się oczom Bony, ale nic nie powiedział.

W końcu odezwała się królowa:

– Signor Pappacoda twierdzi, że już je znalazł... To gorące źródła Italii.

Valentino, zaskoczony tym, co usłyszał, po chwili namysłu rzekł: – Ta kuracja wymagałaby wielkiej fatygi, miłościwa pani.

– Sądysz, że nie zniosłabym tej podróży? – Bona podźwignęła się z krzesła i spojrzała mu hardo w oczy.

– Zapewne byście ją znieśli, ale z uszczerbkiem dla zdrowia.

Nie spodobały się królowej jego słowa. Minęła go i zbliżywszy się do stołu, wsparła na nim tęgie ramiona i wybuchła: – Gdy potrzebuję siły, odbieracie mi ją! Gdy chcę iść do przodu, wy chcecie, bym stała w miejscu! – Naraz zwróciła twarz w stronę Valentina i rozkazała: – Dobrze! Więc znajdź skuteczne lekarstwo, które mnie uzdrowi! A może spytaj doktora di Materę, co dwie głowy, to nie jedna!

Valentino oddalił się, by w księgach szukać ratunku dla chorej. Pappacoda tymczasem tkwił przy królowej, gotów dalej roztaczać przed nią wizje italskich krajobrazów, ale już nie chciała o tym słyszeć. Pomysł zdał się jej zbyt śmiały. *Co by na to powiedział August?* A jeśli poprosi go o zgodę na wyjazd, czy ją dostanie? Prosić? Jej czoło przecięła głęboka bruzda. *Ja, królowa, mam prosić syna, by pozwolił mi wrócić do Italii? Nigdy.*

ROZDZIAŁ 3

MIŁOŚĆ JAK OPĘTANIE

Mokre płatki śniegu osiadły na rzęsach, przylepiły się do policzków i prawie natychmiast stopiły. Ale królowa nie odczuwała chłodu chmurnego styczniowego dnia. Myśl o rychłym spotkaniu z synem rozgrzewała ciało i powodowała, że serce rozsadzało pierś. Nie zdała się na zrządzenie losu i postanowiła wyjechać Augustowi naprzeciw. Słonecznego poranka, gdy szron posrebrzył drzewa, wsiadła do karocy i wtuliła szyję w futrzany kołnierz płaszcza. Lukrecja i Maria w milczeniu usiadły naprzeciw królowej. Baioni zbliżył się na cętkowanym koniu, a wtedy Bona dała rozkaz do odjazdu. Karoca ruszyła, królowa siedziała milcząca i zasepiona, naraz zerknęła w okna komnaty córek. Dostrzegła królewny. Patrzyły w jej stronę. W przeddzień wyjazdu powiedziała im, że jedzie na spotkanie z Augustem. O nic nie pytały, ale widziała ich zalęknione oczy.

Potem, gdy już przekroczyła zamkowe mury, z niechęcią popatrywała na roztaczające się wokół krajobrazy. Zbrzydła jej ta Warszawa, te szare uliczki, którymi w deszczową porę płynęły brudne wody, te bezkresne równiny, te nieurodzajne ziemie, te pola pokryte śniegiem, te zmurszałe kapliczki u rozstaju dróg, te poczerniałe kościoły, których dzwony biją jakby na śmierć, a przecież ona chce żyć, pełną piersią czerpać radość i działać. W jej głowie ciągle roiły się nadzieje na dobre życie u boku syna. Można jeszcze królestwo uczynić wielkim.

Marco della Torre powrócił z Paryża z dobrymi wieściami. Małgorzata Walezjuszka nie jest zamężna, co więcej, nie została nikomu przyrzeczona, a król Henryk na sugestię jednego z urzędników, który szepnął mu o

owdowiałym Jagiellonie, nie wyraził sprzeciwu, co znaczy, że droga do tego związku stoi otworem.

Zaprzęgi sunęły po świeżym śniegu, który spadł nocą. Bona i jej dworzanie nocowali w zamkach i dworach. Trzeciego dnia podróży chmury przybrały barwę mleka, po czym rozproszyły się i nieśmiało wyjrzało słońce. Królowa wzięła to za dobry znak. Pogoda jej sprzyjała, niech i sprzyja Bóg. Jednak nazajutrz o świtaniu niebo raptownie się zmieniło, wichher przygnał śnieżne chmury. Orszak ruszył w dalszą drogę. Bona spoglądała z okna karocy na monotonne, białe po horyzont krajobrazy ośnieżonych lasów. Bywała w Puszczy Kozienickiej, tutaj polując, już bez męża i syna. Nagle stado gawronów wzleciało w przestworza i czarnymi skrzydłami zabrudziło niebo. Ich wrzask rozniósł się po okolicy złowróżbną melodią. Bona wpatrywała się w ptaszyska i zazdrościła im. Chciała być jak one, nie pragnąć niczego i donikąd nie dążyć, nie myśleć o dniu jutrzejszym i nie roztrząsać przeszłości. Ich skrzydła zaniosą je do dalekich krain. Są wolne. Naraz myśli królowej się zmaciły, oto od strony lasu dostrzegła pędzącego ku orszakowi jeźdźca. Rozpoznała go. To pan Mirowski. Kazała zatrzymać wozy i czekała, aż szlachcic się zbliży. Po chwili wstrzymał wierzchowca i pochyliwszy przed Boną głowę, oznajmił: – Najjaśniejsza pani, jego królewska mość jest godzinę drogi od Kozienic.

– Są przy królu Radziwiłłowie? – spytała z niepokojem.

– Nie, pani. Nie widziałem ich herbów. Król jedzie tylko z panami koronnymi.

Jak dobrze, pomyślała z ulgą. Nie chciała ich widzieć przy królu, dość złego uczynili, by poróżnić ją z synem. Niech siedzą na Litwie, tam jest ich miejsce, pośród puszczy, z dala od Warszawy i jeszcze dalej od Krakowa.

Bona rozkazała Baioniemu, by przyprowadził jej klacz, i chwilę później pomknęła naprzeciw synowi, zabierając ze sobą jedynie kilku dworzan.

Popędziła ku lasom sosnowym, których głęboki cień zakleszczył ją jeszcze większym chłodem. Niebawem wyjechano ku rozległym polom, na których hulał wicher. W dali, na horyzoncie, biała od śniegu gęsta ściana drzew. To tam znajdował się orszak króla i posuwał się wolno po trakcie.

Bona ubodła konia nogami, zwierzę wyrwało się przed siebie i popędziło galopem, wzbudzając niepokój Baioniego o królową. Ale zawziętość, jaką w sobie miała, pchała ją do przodu i powodowała, że panowała nad klaczą. Z czasem koń zwolnił i królowa wyteżyła wzrok w poszukiwaniu syna. Minęło kilka chwil, nim dojrzała jego przygarbioną sylwetkę. Zygmunt August dopiero po chwili dostrzegł matkę i patrzył na nią zaskoczony, wszak umyślnie omijał Warszawę, by jej nie spotkać. Królowa wstrzymała klacz i odwróciła się. Baioni, Pappacoda i pan Mirowski deptali jej po piętach. Skinęła na Landolfa, by pomógł jej zsiąść z konia.

– Dalej pójde sama – postanowiła.

Baioni pochwycił uzdę jej konia. Widział, jak Bona odwróciła się i skierowała ku królowi. Po chwili także Jagiellon zostawił wierzchowca i wyszedł ku matce. Każdy krok przybliżał ich do siebie i Bona coraz wyraźniej widziała oblicze syna. Próbowwała wyczytać z jego twarzy uczucia, jakie do niej chowa. Pragnęła odnaleźć w nich choć okruszki miłości, a napotkała lodowaty chłód. Spotkali się pod rozłożystą koroną dębu. Zdało się, że owo wielkie kilkusetletnie drzewo miało być jedynym świadkiem ich spotkania i słów, jakie między nimi padną. Król odrzucił poły krótkiej peleryny podbitej futrem i skłonił przed matką głowę. Bona nie spuszczała go z oczu. Pomyślała, że przybyło mu lat, jego sylwetka, dawniej wyprostowana i gibka, teraz pochyliła się, jakby pod ciężarem przeżyć. Poczuła litość i współczucie. Zapragnęła odjąć synowi cierpienia i wziąć wszelkie ciężary na swe barki. Jej serce wyrывało się ku niemu,

chciała pochwycić go w ramiona, lecz zdobyła się jedynie na głęboki ukłon, w którym tkwiła, w jego przekonaniu, zbyt długo. Ów korny pokłon zdał się Zygmuntowi Augustowi manifestacją jej uczuć, z których hardość oblekła się w płaszcz pozornej pokory. Chcąc uniknąć spektaklu na oczach dworu, przemógł się i zbliżywszy się do matki, podniósł ją z ukłonu. Zdało mu się, że czekała na ten gest. Bliskość miała wskrzesić to, co między nimi umarło. Królowa uniosła oczy na syna. Jakże zapragnęła mu wyznać, że niczego bardziej nie pragnie niż doczekać starości u jego boku. W złotej kołysce ujrzyć wnuka. Tymczasem nie chłód styczniowy i nie wicher przenikliwy ją zmroził, lecz chłód bijący od króla. Cofnął się, a jego szorstkość ją dotknęła.

– Twoje siostry czekają w Warszawie – powiedziała łagodnie, nie odrywając od niego oczu.

– Warszawa mi nie po drodze, matko – odparł.

– Zatem wezwij królowny na Wawel, by mogły żyć przy tobie do czasu zamążpójścia.

Podchodziła go z każdej strony. Między wierszami pulsowały jej żale.

Wypominała mu zaniedbania, przypominała o obowiązkach względem sióstr. Król poczuł dotyk matczynej ręki na policzku. Na moment obudziły się w nim dobre wspomnienia.

– Ja także pragnę być przy tobie, synu. Nie wzbraniaj starej matce i nie każ czekać na śmierć tak daleko od ciebie. Tylko ciebie kochałam... i dla ciebie żyłam.

– Tu jest wasze miejsce, matko. Walczyliście o Mazowsze, choć szlachta mazowiecka była wam przeciwna – odparł i szorstko odjął jej dłoń ze swego policzka. – Czemuż teraz Warszawa tak wam obrzydła? Ale powiem wam! Gdziekolwiek się pojawiacie, gdziekolwiek wasze rządy, tam siejecie nienawiść.

Dostrzegł, jak gruba linia wyłobila głęboką bruzdę między jej brwiami.

– Losem sióstr zajmę się na sejmie w Piotrkowie – dodał, ujrawszy, jak z zaczerwienionych oczu matki ciekną łzy i spływają po policzkach.

– Podobno chorujecie na oczy – rzekł, tonując głos.

Potaknęła zaskoczona, że o tym wie. Próbowала dociec, któż mu o tym doniósł, lecz król szybko zmącił jej myśli, mówiąc: – Przyślę wam medyka.

– Nie potrzebuję medyka – odparła zdecydowanie. – Zamierzam wyjechać do Italii. Tam wyzdrowieję.

Milczał i przypatrywał się matce z uwagą. Valentino doniósł o tym królowi, licząc na jego łaskę. Gdy Bona umrze, trzeba będzie wracać do Italii, tymczasem przed Zygmuntem Augustem jeszcze długie życie.

W poufnym liście do króla medyk wspomniał, że myśl o wyjeździe podsunął królowej Pappacoda.

– Po co chcecie tam jechać? Macie tu wszystko! Miasta i ziemie, wasze młyny i mosty, wasze pastwiska i lasy... i tu będzie wasza śmierć – wyliczał w pośpiechu.

– Nie mam miłości – rzekła, dotknięta jego słowami.

– Bo sobie na nią nie zasłużyliście! – skwitował.

– Złotem i urzędami kupieś tych, którzy przy mnie byli! – wybuchła.

– Sprzedajni byli – rzucił. – Żegnajcie, matko!

Skinął jej głowę i spiesźnie odszedł. Naraz za Boną rozległo się donośne rżenie koni.

Odwróciła się i ujrzała pędzącego w jej stronę Pappacodę, który prowadził ze sobą klacz królowej. Po chwili zwolnił, posłał dociekliwie spojrzenie królowi i zsiadł z konia, pochylił głowę przed Zygmuntem Augustem, po czym zbliżył się do Bony.

– Miłościwa pani, zawróćcie, na Boga, skryjcie się w karocy. Musicie się oszczędzać... – powiedział Gian Lorenzo. Bona otarła łzy, które z jej oczu wycisnął żal.

ROZDZIAŁ 4

MOJE SERCE BIJE TYLKO DLA BARI

Zamek warszawski usypiał. Dworzanie i służba, znużeni krzątaniem, zamknęli się w swych pokojach, opustoszały korytarze i cisza zaległa każdy kąt, od czasu do czasu mącona popiskiwaniem myszy. Dał silny wicher, wdzierał się w zakamarki i hulał po zamku. Zapowiadała się spokojna noc, gdy z oddali rozległy się ciche kroki i dały się słyszeć przytłumione głosy.

– Nie wiem, czy królowa cię przyjmie. Już późno... ale jeśli nie śpi, chociaż przekażę list od królowej Izabeli... Odkąd nasza pani wróciła z Kozienic, niedomaga, źle sypia i straciła apetyt.

Dwie postacie: jedna niska, druga strzelista w długim płaszczu, zbliżyły się do pochodni i po chwili można było rozpoznać Lukrecję Alifio i podążającego za nią Hannibala Lanckorońskiego. Dama dworu umilkła, a dworzanin nie podjął rozmowy, choć Lukrecja chętnie by z nim pomówiła o tym, co dzieje się tutaj, w Warszawie, o tym, jak bardzo nieudane spotkanie z królem odbiło się na zdrowiu i nastroju królowej. Gdyby o to spytał, bez wahania wyznałaby, że od tamtego dnia zamek warszawski przypomina zimny grobowiec, że Bona dotąd nie potrafi otrząsnąć się z porażki. Naraz dama dworu zatrzymała się i rzekła do dworzanina:

– Poczekaj tutaj. – Po czym weszła do sieni. Cicho zamknęła za sobą drzwi, gdy usłyszała głos królowej.

– Nic nie jest przesądzone, w każdej chwili wszystko można odwrócić.

Lukrecja przystanęła, zastanawiając się, kto jest u królowej i czego dotyczy rozmowa.

– Miłościwa pani, nie cofajcie się. Widziałem wasze łzy, gdyście się rozstawali z królem, na obliczu miłościwego pana nie ujrzałem smutku. Miłość wasza do króla jest bezgraniczna, ale w sercu króla nie ma już miłości do was.

– Milcz! – uniosła się. – Nie tobie o tym sądzić!

Lukrecja podeszła do progu i lekko rozchyliwszy kotarę, dyskretnie wcisnęła oczy w szparę. Ujrzała królową w nocnej koszuli, w szlafroku, z włosami rozrzuconymi na ramiona. Siedziała blisko kominka i wygrzewała się w jego ciepłe. Pappacoda stał obok, tak blisko Bony, że jego płaszcz ocierał się o jej dłoń. Pochylił się i rzekł pokornie:

– Wybaczcie. Nigdy nie ośmieliłbym się na osąd króla, ale moje oczy widzą lepiej niż wasze. Widzą to, czego wy nie dostrzegacie, pani. Zresztą, Italia to nie kraniec świata. Zawsze możecie wrócić do Polski, jeśli Bari wam zbrzydnie.

– Bari nigdy mi nie zbrzydnie! – zachnęła się, dotknięta tymi słowami.
– Zbrzydło mi tutejsze zgniłe powietrze, użeranie się z magnatami, pazerność, ludzka głupota i kolejny dzień podobny do poprzedniego. Życie ucieka, a czas nie przynosi żadnych korzyści.

Nagły kaszel rozerwał jej krtąń. Z Kozienic wróciła przemarznięta. Przeziębienie, jakiego nabawiła się w drodze, spowodowało, że musiała położyć się do łóżka na tydzień i dotąd nie mogła dojść do zdrowia.

Ciągle nękał ją suchy kaszel. Valentino i di Matera kurowali Bonę maściami i syropami. Lukrecja co wieczór nacierała jej piersi gęstą zielonkawą mazią, która przenika przez skórę i rozgrzewa ciało, a której smród był tak nieznośny, że królowa zasłania nos chustką.

– Zatem mam jechać, pani? – spytał po chwili, gdy kaszel ustał.

– Tak. Złoto i klejnoty zdeponujesz w Wenecji. Schowałeś listy do wicekróla Neapolu i do Gonzagi? – zapytała, chcąc się co do tego upewnić.

– Tak, pani, są bezpieczne – zapewnił, kładąc dłoń na piersi.
– Ach, gdyby to się udało. – Bona się rozmarzyła. – Zofia pojechałaby do Neapolu albo do Mediolanu. Kto wie, może ja z nią...
– Jako wicekrólowa... – dodał.
– Dobrze i to – ucięła, usłyszawszy w jego głosie pewne szyderstwo.
– Zofia ma trzydzieści lat, wkrótce nikt jej nie zechce – skwitowała.
– W ostateczności pozostaje klasztor – odpowiedział nieśmiało.
– Oszalałeś! – roześmiała się. – Zofia i klasztor? Ze wszystkich moich córek jest najmniej pobożna. Gdybym jej pozwoliła, nie przestąpiłaby progu katedry i na zawsze zaniechała przyjmowania komunii... Ci protestanci... potrafią zmącić umysły.

Czyjeś chrząknięcie przerwało rozmowę i wzbudziło w Pappacodzie czujność. Naraz spod stołu wysunęła się głowa Portii. Karlica spozierała to na Bonę, to na dworzanina. Gian Lorenzo pochylił się nad Boną i rzekł do niej przyciszonym głosem, popatrując na Portię:

– Nie ufam tej karlicy, pani.
– Ty? A cóż ty masz do niej?! – oświadczyła szorstko Bona i pochwyciła wzrok Portii. Przez usta karlicy przemknął uśmiech. Królowa odwróciła się w stronę drzwi, a w tym czasie kotara rozchyliła się i ujrzała Lukrecję. Bona nie kryła irytacji jej obecnością. Chciała być sama, by z Pappacodą omówić ważne sprawy. Przez głowę jej przemknęło, że Lukrecja podsłuchiwała ich rozmowę, ale była spokojna, gdyż całkowicie jej ufała. Widząc nieustępliwość w oczach dwórki, uznała, że przychodzi z czymś ważnym, więc oddaliła Giana Lorenza. Dama dworu obejrzała się za Pappacodą, a gdy zniknął jej z oczu, rzekła:

– Miłościwa pani, list od królowej Węgier.
Bona ożywiła się, a jej chmurne oblicze się rozjaśniło. Kazała podać list i złamawszy pieczęć, przeczytała wiadomość.

– Izabela jest w Krakowie – rzekła, a na jej twarzy odmalowało się wzruszenie.

Lukrecja uśmiechnęła się, po raz pierwszy od wielu dni widziała radość na licu królowej.

– Pisze, że chce się ze mną spotkać, ze mną i z siostrami. Droga Izabela! Pamiętaj o matce. Moja dobra córka.

Wspomnienie Izabeli wzruszyło Bonę, słowa uwięzły jej w gardle.

Zdało się, że w obliczu wrogości Zygmunta Augusta do matki to właśnie najstarsza córka może dać królowej pocieszenie.

– Ale nie pisze kiedy – dodała.

– Wasza miłość już się nie gniewa na królową Izabelę? – spytała Lukrecja nieśmiało.

– Gniewać? Za co? – zdziwiła się.

– Królowa oddała Koronę Świętego Stefana Habsburgowi.

Bona położyła dłonie na krześle i westchnąwszy, odparła:

– Źle uczyniła... ale nigdy nie przestała być moją najdroższą córką. Kto przywiózł ten list?

– Pan Lanckoroński.

– Lanckoroński? – Bona powtórzyła zaskoczona i przypomniała sobie dawne lata, zanim wyjechał na Węgry, by z jej rozkazu służyć Izabeli.

– Czeka w korytarzu. Mam go wprowadzić? – spytała dwórka.

– Tak! Zrób to!

Wraz z listem od córki i z przybyciem dawnego dworzanina monarchini poczuła, że wstąpiły w nią nowe siły. Zbliżyła się do lustra, a ujrawszy w nim swoje odbicie, straciła cały entuzjazm i zawołała za damą dworu, zwracając ją z sieni:

– Wróć, Lukrecjo!

Pani Alifio cofnęła się do alkierza i niepewnie spoglądała na królową.

– Na pewno jest utrudzony drogą. Daj mu ciepłą komnatę, przynieś z kuchni suty posiłek i wino i powiedz, że czekam na niego jutro. Zjemy razem śniadanie.

Lukrecja uśmiechnęła się i rzekła:

– Powtórzę, pani.

Dama dworu wyszła, Bona zaś zawróciła do lustra i przypatrywała się swemu obliczu. Nie wyglądała korzystnie. Co prawda oczy przestały łzawić i ropieć, ale ten niezdolny kaszel ciągle nie dawał wytchnienia, do tego co rusz pociągała nosem. Kąpiel w łaźni kilka dni temu w wietrzny dzień nie była dobrym pomysłem. Wicher wdzierał się przez szpary i dotąd odczuwa tego skutki. Oderwała wzrok od lustra i przeszła do stołu. Wsunęła szufladę i sięgnęła po kartkę papieru z zamiarem napisania do Izabeli.

O poranku, odziana w ciemną suknię połyskującą srebrnym haftem, oczekiwała na Hannibala w gabinecie. Wszedł zamaszystym krokiem i kłaniał jej się od progu. Gdy uniósł na nią oczy, dostrzegła w nich rozczarowanie, choć bardzo starał się je ukryć. *Postarzał się*, przemknęło jej przez głowę, gdy mu się przypatrywała. Skronie całkiem mu posiwiały, a skóra na twarzy ciągle była czerwona od mroźnego wichru. Gestem ręki wskazała mu jadalnię i pierwsza tam ruszyła. Nakryto już do stołu i służba czekała, by im usłużyć, ale królowa wkrótce wszystkich odprawiła. Zostali sami.

Bona zachęciła gościa, by się częstował, i zaraz zaczęła wypytywać o Izabelę i o wnuka, Jana Zygmunta, o długie lata na Węgrzech, o to wszystko, co w sercu matki i córki wzbudzało gorycz. Dworzanin opowiadał więc o wielkim strachu królowej Izabeli, o nadziejach i krótkich zrywach odwagi, o obłudnym mnichu Jerzym, który służył Habsburgowi, i o jego śmierci zadanej z rąk spiskowców, i o wielkiej radości królowej

Węgier na tę nowinę, o złudzeniach i wreszcie o utracie wiary w pomyślną przyszłość.

– Królowa doznała ulgi, gdy opuściła to piekło – orzekł na koniec. – Dopiero w Polsce poczuła się wolna.

– Sądzisz, że teraz, gdy stamtąd uciekła, jest szczęśliwa? – spytała Bona po chwili wahania.

– Królowej daleko do szczęścia. Wie, że tutaj, w Polsce, nie ma dla niej miejsca – oświadczył.

– Ale może się tu dłużej zatrzymać, nikt jej nie wygania – stwierdziła z przekonaniem, gdy kaszel ścisnął jej krtani. Upiła łyk wina z kryształowego kielicha.

– Nie, pani. Wawel jest pusty, król Zygmunt nie żyje, młody król w Piotrkowie, a wy tutaj... – odrzekł, sięgając po plaster tłustego boczku. Przyglądała się, z jakim apetytem zajada i smakuje wszystkiego, co postawiono na stole, i się zamyśliła. Miał rację, cała rodzina się rozproszyła. W Krakowie zostały tylko mury Wawelu i wspomnienia, nic więcej. Już tam nie biją serca Jagiellonów, zostali tylko umarli uwiecznieni na zimnych sarkofagach, milczący, pogrążeni w śmiertelnym śnie.

Bona podniosła się zza stołu, na co dworzanin poderwał się na nogi, wtedy rzekła, spoglądając z zadowoleniem na Hannibala:

– Widzę, że ci smakowało.

– Wasza kuchnia, pani, nie ma sobie równej – odparł.

To pochlebstwo mile ją połechtało i przechodząc do gabinetu, rzekła:

– Cieszę się, że syty wyruszysz w drogę.

Podążył za nią i zatrzymał się w progu. Zobaczył, jak wysuwa szufladę sekretery i coś z niej wyciąga.

– Oto list do królowej Izabeli. Czekam na nią tutaj, w Warszawie. Spiesz do Krakowa. Będę jej niecierpliwie wypatrywać.

Odtąd dni na zamku warszawskim biegły szybciej, czas jakby nabrał tempa. W oczekiwaniu na przyjazd Izabeli królowa wybrała dla córki przestronną komnatę ogrzewaną wielkim kaflowym piecem i razem z Zofią, Anną i Katarzyną ozdabiały ściany barwnymi gobelinami, a podłogi przykryły dywanami. Najmłodsza z królewien wybrała pościel, w którą służba obiekła puchową pierzynę. Właśnie do komnaty królewicza Jana Zygmunta wniesiono klatkę z papużkami, gdy zjawił się goniec od królewskiego sekretarza Roizjusza, z którym Bona utrzymywała sporadyczne kontakty. Lukrecja odebrała list i niosła go królowej. Gdy otworzyła drzwi, doszedł ją gwar rozmów i śmiech. Bona dostrzegła dwórkę i zerkając na tapety leżące na stole, spytała Lukrecję:

– Które będą najlepsze dla królewicza Jana? Które mu się spodobają?

– Wszystkie są piękne – oświadczyła Lukrecja.

Królowa dostrzegła w jej rękach list i spytała:

– Od Izabeli?

– Od pana Roizjusza – odpowiedziała Lukrecja.

Bona otworzyła list. Gwar ustał, królewny otoczyły matkę i w skupieniu czekały na wieści. Mina królowej nie zwiastowała niczego dobrego, a jej słowa tylko to potwierdziły.

– Na próżno się staracie. Wasza siostra spotkała się z Augustem i pojechała do Opola.

Bona rzuciła córkom przelotne spojrzenie i wyszła na korytarz. Nie chciała okazać przed nimi, jak bardzo dotknęła ją ta wiadomość. Izabela spotkała się z bratem i zlekceważyła matkę. *A może spiskują za moimi plecami? Może August nastawił Izabelę przeciwko mnie? Jeśli to wszystko jego sprawa?* Podejrzliwość rozlała się w jej duszy jak trucizna. Wróciła do siebie. Zastała tu Marię, którą zaraz odprawiła. Usiadła przy kominku, gdy zjawiła się Lukrecja, by jej usłużyć, a wtedy Bona rzekła:

– Niczego mi nie potrzeba, Lukrecjo, no może tylko błękitu nieba nad Bari.

– Niebo wszędzie jednakie, miłościwa pani – stwierdziła dwórka.

– Nie. Tamto niebo jest czyste, daje mi siłę, tutejsze mnie przytłacza – wyznała gorzko.

– Wasza wysokość naprawdę chce tam wrócić? – spytała dwórka.

Bona potaknęła:

– Naprawdę. Bo dla kogo ja tu żyję? I po co? August nie chce mnie znać, Izabela mnie lekceważy.

– A królowny?

– One także niebawem przestaną mnie potrzebować. Czasem mam wrażenie, że się mnie boją. Gdy wchodzę do ich komnaty, milkną. Nie mają śmiałości na mnie spojrzeć, a gdy już to czynią, w ich oczach widzę strach.

Lukrecja, poruszona wyznaniem królowej, przypadła do jej kolan i rzekła błagalnie:

– Pani, są tacy, którzy was tu nienawidzą, ale są i tacy, którzy was kochają za sprawiedliwe sądy i miłosierne serce... Błagam, nie dawajcie posłuchu Pappacodzie.

– Powariowaliście! – wybuchła. – Jeden nastaje na drugiego, nikomu nie ufa! A przecież człowiek nie może być sam! Komuś musi zaufać, Lukrecjo.

Królowa sięgnęła do stolika po modlitewnik i rzekła do damy dworu:

– Wrócę do Italii, na przekór Augustowi i na złość wszystkim, choćbym miała tam umrzeć. Już! Zejdź mi z oczu! – rzuciła szorstko.

Lukrecja podniosła się i skierowała do drzwi. Czuła, jak każdy nerw w niej drga. Pappacoda wyjechał z Warszawy, miała nadzieję, że w tym czasie zdoła odwieść królową od tego pomysłu. Podskórnie przeczuwała jakieś

nieszczęście, a może, silnie zakotwiczona w polskiej ziemi, już nie widziała dla siebie miejsca w Italii. Może to strach przed niepewną przyszłością wzmagał w niej niepokój. W progu jeszcze się zatrzymała i obejrzała na królową. Widziała jej skuloną na krześle sylwetkę. Gdy Bona skierowała na nią wzrok, pani Alifio natychmiast wyszła. W sieni natknęła się na Portię, która bez słowa ją minęła i weszła do komnaty. Niezauważona przez władczynię, przycupnęła przy piecu.

* * *

W kolejnych tygodniach doszły do Warszawy wieści o burzliwym sejmie w Piotrkowie, o tym, że szlachta protestancka mocno pomstowała na duchownych i napominała króla, że rozpasanie kleru zemści się na królestwie, że pora ukrócić ich władzę, chciwość i butę. Doszły też do Bony słuchy o księżach, którzy za nic mając nauki papieża, pobrali sobie żony i sami innym duchownym udzielają ślubów małżeństwa, że prym pośród zuchwalców wie dzie Stanisław Orzechowski, że nawet jej dawny spowiednik, Franciszek Lismanin, jawnie opowiedział się za naukami Lutra. Na sejmie stanęła jeszcze jedna sprawa, o czym donosił królowej marszałek nadworny Jan Tęczyński, stronnik Bony. Posłowie domagali się szybkiego małżeństwa króla. Jagiellona zbulwersowało to żądanie. Nie zwykł się unosić, lecz tym razem podniósł głos i odpierając atak, odrzekł, że żałoba po świętej pamięci królowej Barbarze jeszcze trwa, że zna swoje obowiązki, w stosownym czasie wypełni wszystko, co na nim ciąży.

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

ROZDZIAŁ 1. CISZEJ NAD JEJ TRUMNĄ!

ROZDZIAŁ 2. GORZKIE ZIARNA NADZIEI

ROZDZIAŁ 3. MIŁOŚĆ JAK OPĘTANIE

ROZDZIAŁ 4. MOJE SERCE BIJE TYLKO DLA BARI